AGA ANTCZAK

AKROBATKI

Czy uda im się ocalić nasz cyrk?

Opowieść o matkach-akrobatkach na arenach rozpadającego się świata

LIRA
WYDAWNICTWO

AKROBATKI

AGA
ANTCZAK

AKROBATKI

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2024
ISBN: 978-83-68101-27-0

Rozdział 1. Cyrkówka

Klementyna

I

Klementyna nie cierpiała buraków. Mówiła, że są jak krew. Plamiły obrusy na stołach, rękawy przy sukience, lniane serwety, którymi ocierano usta. Buraczane plamy zasychały na fartuchu kucharki, plamiły jej dłonie, przenikały do skóry. Bała się ich tak samo jak przysadzistych, objazdowych rzeźników z rękami ociekającymi krwią po ubiciu świni na podwórzu. Gdy była dzieckiem, nikt jej nie zmuszał do jedzenia buraków, ale w domu męża stanowczo odmawiała brania do ust startej, ugotowanej bulwy. Czuła się, jakby przegryzała kawałek krwistego steka ociekającego wegańską krwią. Jej odmowa była czymś więcej niż kulinarnym nieupodobaniem. Była manifestacją ceremonialnie odgrywaną przy każdym obiedzie. To był jej moment. Jej protest przeciwko zawartemu małżeństwu.

Kiedy brała ślub, nikt nie zapytał jej o zdanie, teraz zaś pytano ją kilka razy w tygodniu, czy ma ochotę na buraczki, a ona rozkoszowała się tym skromnym „nie, dziękuję", które doprowadzało Rafała do wściekłości. Wiedziała o tym i kiedy gości było więcej niż zazwyczaj, dodawała, jak

bardzo nie lubi buraczków, patrząc mu prosto w oczy. To takie brudne rośliny, ukryte pod ziemią. Nienawidził jej już wtedy i prowadził z nią tę absurdalną małżeńską wojenkę przy rodzinnym stole. Pytanie—odpowiedź. Atak—obrona. Żadne nie chciało ustąpić.

Teraz, gdy Klementyny nie było, ciepłe buraczki królowały na półmiskach w Rafałówce, nikt nie odmawiał ich spożycia, a nawet stały się sławne na okolicę dzięki kulinarnym sztuczkom Teosi i strategii rolno-rynkowej księdza oraz jego darowi przekonywania. „Nawet Pan Bóg lubi buraczki" — głosił przy stole jak z ambony podczas niedzielnych obiadów, kierując wzrok prosto na zdumioną córkę Klementyny, która zachęcona marketingowym chwytem księdza zjadała całą porcję z talerza.

Pola Rafała dawały obfite buraczane plony. Zwłaszcza te cukrowe. Miał nawet wrażenie, że od ucieczki Klementyny rośliny były silniejsze, bardziej dorodne, a korzeń słodszy. Jakby odszedł z pola walki ich największy wróg. „Kto nie ma szczęścia w miłości, ten ma w polu" — Rafał z zadowoleniem parafrazował ulubiony karciany zwrot księdza, tłumacząc się z kolejnego roku urodzaju.

Bardzo lubił patrzeć na rozlegle hektary swoich pól, które ciągnęły się po horyzont, na zielone rozety liści pławiące się w delikatnym wrześniowym słońcu. Buraki lubią koniec lata. Nie za wysokie temperatury i glebę nawilżoną letnimi burzami. On też lubił schyłek upałów. Oddychał swobodniej, serce biło wolniej w otoczce niespalonego długimi drzemkami tłuszczu.

Otarł spocone czoło jedwabną chustką ozdobioną rodzinnymi inicjałami wyhaftowanymi przez siostrę. Wierzył jej na słowo, ponieważ w pląsających akrobacjach złotej

nitki nie rozpoznawał liter swojego imienia i nazwiska. Domyślał się raczej, w niewybrednych żartach przy kartach z kuzynem i księdzem, zaszyfrowanych inicjałów zakurzonej miłości siostry.

Spieszył się na obiad. Joanna, zwyczajem starych ciotek czy niezamężnych i bezdzietnych kobiet, nie lubiła opóźniania się pory obiadowej, ale nie mógł się powstrzymać od zatrzymania wozu. Poczuł, jak stopy pod naporem jego obfitego w sporą tuszę ciała zapadły się na kilka centymetrów w piasek. Miał najlepsze ziemie w okolicy, poprzecinane lasami, dzikimi i bujnymi, które stopniowo topniały, bezbronne wobec nieposkromionych ataków tartaków i srogich wołyńskich zim.

Schował chustkę do kieszeni surduta i zanurzył grube palce w ziemi. Poczuł chłód gleby. Była gładka i drobnoziarnista. Delikatnie spulchniona, doskonała w grubości i wilgoci. Taką lubił najbardziej. On i jego buraki. Czuł przyjemność niemal fizyczną, jakby ziemia była kobietą. Piękną i nieznacznie wilgotną. Brunatną jak kobiety, które mu się podobały. Jak Klementyna.

Jego ziemia nie była brudna. Widział w niej czystość, świeżość pierwszej orki i pulchność przed wydaniem owocu. Była płodna i wierna. Zawsze przy nim, podobnie jak on był jej wierny. Ziemia nie może nas opuścić, odejść od nas. Tkwi pod naszymi stopami. To człowiek opuszcza ziemię.

Klementyna nie była ziemią, chociaż kupił ją i cukrownię, a potem podeptał jej wolność, skrępował sukniami i fiszbinami jej ciało, zasznurował stopy w trzewikach. Klementyna odeszła, uciekła, zdradziła. Zostawiła suknie, fiszbiny i dziecko. Niemowlę. Sine od płaczu, dopóki bujna pierś Teosi nie stłumiła płaczu porzuconej córki.

Rafał nie umiał zająć się niemowlęciem, tak jak nie umiał kochać żony. Stronił raczej od ludzi, nie miał przyjaciół. Jego położony na uboczu Starej Rafałowej dom odwiedzał tylko ksiądz i raz do roku przyjeżdżał z wizytą kuzyn — znany krakowski malarz poszukujący inspiracji w ukraińskim folklorze. Towarzystwa kobiet Rafałowi nie brakowało, bo po prostu ich nie lubił. Kochał tylko ziemię. Dbał o nią, dopieszczał. Nawoził. Odżywiał. Własnoręcznie i z pomocą ukraińskich chłopów usuwał z jej powierzchni kamienie polne oraz zbite warstwy gleby pozostałe po orce. Była wymagająca, ale odwdzięczała się pięknymi plonami.

Gdy tak patrzył na długie, ciągnące się jak zielone warkocze równe rzędy rosnących buraków, mimo wszystko pomyślał o Klementynie. Górne partie liści żółkły delikatnie w słońcu. Dotknął zwiotczałych łodyg i uśmiechnął się pod szerokim słowiańskim wąsem, którego tak nie lubiła mała Gabriela. To był kolejny dobry rok dla jego buraków. Rozłożyste korony liści uchroniły je przed mrozem i silnym deszczem. Te zielone parasole rwała kiedyś Klementyna, gdy deszcz zastał ją na polu. Okrywała się nimi i biegła do domu. Widział ją z daleka w prostokącie okna, jak rzucała przemoczone liście w błoto. Czuł skurcz gardła i zaciskał pięści. Liście to nie parasol ani wachlarz, liście to pasza dla bydła i nawóz organiczny. Wolał, aby to ona wróciła mokra albo najlepiej, żeby w ogóle nie biegała po polach jak wariatka. Cała wieś już się z niej śmiała.

Na niego patrzyli z szacunkiem. Zatrudniał zbyt dużo ludzi w polu, w majątku i cukrowni. Poza tym kochał ziemię i sam zasiewał z ręki ramię w ramię z chłopami. Rafał miał miarę w oczach. Gdyby ktoś szedł za nim z linijką

w ręce, zobaczyłby na skali okolicę trzydziestu centymetrów. Umieszczał nasiona w regularnych odstępach na głębokości dwóch, trzech paznokci, a potem posypywał je mieszanką sadzy, wapna i popiołu. Dlatego gleba była pulchna i mało kwaśna. Przykrywał je ziemią jak kołdrą. Z czułością i precyzją, która wzruszała każdą chłopkę idącą za nim. Myślały, że jest dobrym ojcem, ale on nigdy nie otulił kołdrą własnej córki.

Rafał był zadowolony. Uśmiechał się do własnych plonów, które niedługo zbierze. Nie czuł głodu, czuł gorące promienie słońca atakujące z bezchmurnego nieba. Stiepan niecierpliwił się na wozie. Na polu nie było odrobiny cienia, ale Rafał nie zerwał zielonej rozety, jak kiedyś robiła to Klementyna, gdy całowała go za zielonymi wachlarzami. Wtedy jeszcze wierzył, że to drobne, zwinne dziewczątko o ciele gibkim jak młoda pantera może go, starszego o piętnaście lat pana buraczanych hektarów, pokochać. W końcu była wnuczką pioniera polskich cukrowni.

To było małżeństwo idealne. Pięćdziesiąt hektarów pięknej gleby pod zasiew buraków. Przy dobrych zbiorach otrzymywano prawie pięćset ton, co dawało rocznie dwieście procent białego cukru w pobliskiej cukrowni Mrozowickich, która po ślubie z Klementyną należała do niego. Śmiali się przy kieliszkach buraczanki, że będzie to najsłodsze małżeństwo w okolicy. Nie było słodkie. Było jak spirytus wylany na otwartą ranę. Jątrzył, wypalał, ale nie zabijał. Czysty układ. Zdezynfekowany i sterylny. Precyzyjnie zaaranżowane małżeństwo obliczone na stały zysk. Buraki, cukier, ruble. Dochód trzykrotnie wyższy od zysków z uprawy pszenicy. To była bardzo dobra inwestycja i bardzo złe małżeństwo.

— A to co, u licha? — zaklął nagle, mrużąc oczy. Sierpniowe słońce utrudniało patrzenie jego dotkniętym astygmatyzmem oczom. — Stiepan! — zawołał na fornala. — Co to za zwierzę, u licha, w moich burakach?!

Stiepan zsiadł niechętnie z kozła, stanął obok dyszącego ze zdenerwowania Rafała i spojrzał w stronę pola. W półmetrowych buraczanych alejkach co chwila pojawiały się dwie kończyny, raz długie, raz krótkie. Jasne, wirujące w locie jak skrzydła ptaka.

— Biegnie rzędem, nie niszczy liścia — stwierdził rzeczowo Stiepan.

— Ale dlaczego w moich burakach? Jakim prawem?

— To nie zwierzę, za wolne… — zamruczał po chwili nieco zaintrygowany Stiepan.

— No to co, jak nie zwierzę? Przecież człowiek tak nie chodzi…

— Zwierzę też nie. Nogami do góry?

— Nogami do góry? To są nogi?

— Na moje oko nogi, i to gołe — dodał. — Jedziemy? Pani czeka z obiadem.

Rafał poczuł gwałtowne kołatanie. Serce w ten niebezpiecznie przyspieszony sposób dawało znać o sobie tylko wtedy, kiedy myślał o Klementynie. O jej półnagich wygibasach w trawie. Przecież nie wróciła. Odeszła dziesięć lat temu, a on nadal pamiętał, jak zatrzymało mu się serce, kiedy zobaczył ją balansującą na cienkiej gałęzi drzewa przerzuconej frywolnie przez naturę nad rzeką. I nie zatrzymało się ze strachu o nią, jego żonę w rozkwitającej ciąży. Zatrzymało się ze wstydu, palącego przełyk jak niedobra buraczanka i prowokującego serce do nieregularnych podskoków. A ona skakała jak małpa, jak nieczłowiek,

niekobieta. Małe, dzikie zwierzątko. Zwisała głową w dół z konarów, wirowała w zawrotnych akrobacjach. Ale to było wiele lat temu. Uciekła potem do cyrku z angielskim pajacem. Cyrkówka. A jednak serce kołatało tak samo. Nie mógł się uspokoić.

Jechali wąską ścieżką, jedyną, która prowadziła do majątku. Nigdy nie wydawała mu się tak długa i tak wyboista. Podskakiwał na siedzeniu, ocierał spocone czoło i próbował oddychać miarowo, ale nie potrafił. Oddechy ucinały się, skracały gwałtownie, łapał powietrze, jakby był pod wodą. Może mu się przewidziało, może to głodny żołądek oszukiwał go fatamorganami przeszłości? Ale przecież Stiepan też to widział.

Zajechali przed dom. Mimowolnie spojrzał w stronę rozłożystego jak barczysty atleta buka. To drzewo pamiętało Klementynę. Jej nogi, stopy, objęcia. Chciał je wyciąć po jej ucieczce, ale nie miał sumienia zabijać drzew. To była część jego dworu, jego ziemi. Korzenie tego drzewa tkwiły w niej od ponad stu lat. Jako mały chłopiec wyjadał z kolczastych łupinek trójkątne orzeszki. Pierwszy raz w życiu upił się właśnie bukową nalewką. To drzewo było jego cieniem i pożywieniem, ostoją polskości zasadzoną przez jego wąsatych przodków. Dopiero potem Klementyna skalała nobliwe drzewo swoim półnagim ciałem.

— To była panienka — zaśmiał się prostacko Stiepan. — Nasza panienka.

Wtedy Rafał zauważył córkę. A raczej jej nogi i ręce, raz w górze, raz na dole, na trawie pod szeroko wysklepioną koroną buka. Była bez butów i sukienki. W zwykłych majtkach i kaftaniku. Wziął głęboki oddech. Serce niespodziewanie się uspokoiło. Krew odpłynęła z głowy. Podszedł do córki

i zmusił ją do powrotu do pozycji właściwej człowiekowi. Dziewczynka nie była wysoka. Jej główka opleciona w dwa warkocze zatrzymała się na wysokości jego brzucha. Po czym jego dłoń, sam nie wiedział kiedy, powędrowała precyzyjnie na jej policzek.

Dziwnie się poczuł. Tylko dwa razy w życiu uderzył kogoś w twarz. Najpierw Klementynę, a teraz własną córkę. Tyle że Klementyna mu oddała. Zabolało wtedy. Miała silne ramiona i mocne dłonie. Nie spodziewał się po niej takiej siły i odwagi. Dziewczynka zachwiała się, ale nie upadła. Nie oddała uderzenia, ale też nie nadstawiła drugiego policzka. Wydało mu się nawet, że spojrzała prowokacyjnie, ale choć umiał oszacować swoim astygmatycznym okiem stopień zawartości cukru w burakach, nie znał się na spojrzeniach małych dziewczynek.

— Żadnych wygibasów na mojej ziemi! To dobre dla małp — wydusił z siebie. — Moja córka do cyrku nie pójdzie jak tamta!!! — krzyknął, kierując się w stronę domu. Potknął się na schodku i wpadł prosto na stojącą w drzwiach siostrę. — Dopilnuj tego! Żadnego małpowania w moim domu! — rozkazał wzburzony.

Joannę mało co wytrącało z angielskiej równowagi, którą wypiła wraz z herbatą ze staffordzkich filiżanek. Uniosła delikatnie lewą brew, dając wyraz subtelnego zdziwienia. Rzadko kiedy mała, ledwo zauważalna dziewczynka wytrącała Rafała z równowagi. Wrzeszczał na chłopów, przeklinał ogniście deszcz, kiedy miało świecić słońce, ścierał się politycznie z księdzem, ale najmocniej irytowało go wspomnienie Klementyny. Ale Gabriela? To zdarzyło się po raz pierwszy. I chociaż nie było to miłe Rafałowi odkrycie, po raz pierwszy zauważył dziewczynkę.

— Gabriela zje obiad w kuchni. — Narzucone przez brata „dopilnowanie" bratanicy Joanna wprowadziła natychmiast w sielankowe życie dworu. — Nie dostanie też podwieczorku.

— Ale ja chciałam zjeść obiad z wujkiem — zaprotestowała.

— *That's impossible* — odparła ciotka w suchym i okrutnym angielskim z bardzo dobrym akcentem, który ciął jak brzytwa.

— Ciocia mnie nie lubi! — Dziewczynka tupnęła nogą. Miała za sobą czarną, ciężką spódnicę Teosi w kolorowe hafty, która była jak tarcza i jak pocieszenie.

— Ciotka nie musi lubić, ciotka jest dla ciebie jak matka, która cię opuściła.

Gabriela czuła wiszące nad głową ciężkie piersi Teosi, czuła jej brzuch pod spódnicami, który falował jak wzburzone morze. Gdyby nie ten brzuch, te fale spienione w trzewiach opiekunki, pewnie by się rozpłakała, a tak tylko zacisnęła zęby i posłusznie poszła do kuchni.

Tak właśnie dziesięcioletnia Gabriela dowiedziała się, że jej matka wcale nie umarła przy jej narodzinach, ale uciekła do cyrku. Dziewczynka, posłuszna ojcu, przestała robić wygibasy na trawie. Nienaturalne, dziwaczne ruchy. Łamańce, wykrętasy, wywijasy zniknęły z jej słownictwa. Poprawna nazwa figury, którą Rafał Dobrzyński z drwiną określał wygibasem, nigdy nie pojawiła się na ustach dziewczynki. Przerzut bokiem. Gwiazda.

Jej matka przerzucała ciało bokiem z niezwykłą lekkością i zupełnie intuicyjną świadomością ciała. W czasie ciąży również. Mała Gabriela, zawieszona na różowej pępowinie, wirowała w macicy matki, robiąc pierwsze gwiazdy.

Klementyna nie umiała chodzić po ziemi. Nie umiała kochać Rafała. Nie mogła zostać w Rafałówce. Kiedy pokochała smutnego, angielskiego klauna, opuściła męża, dziecko i została gwiazdą madryckiego cyrku.

Gabriela została w majątku ojca. Ciotka zasznurowała jej stopy w trzewikach i pilnowała noszenia sukienek. Ciało zapomniało. Dziewczynka nauczyła się ładnie chodzić po ziemi. Nie za szybko i nie za wolno. Ciotka, angielskim zwyczajem, kładła jej ciężkie *books* na głowę, aby nauczyła się trzymać prosto i chodzić z uniesionym podbródkiem. Teosia zdejmowała knyszki i kładła na głowę wianek, mimo to do końca życia podbródek Gabrieli pozostał zbyt angielski i wyniosły, co czasami pomagało, a czasami przeszkadzało w jej późniejszym życiu. Do cyrku jednak nigdy nie poszła. Nawet na niewinne przedstawienie.

II

Jest jesień. Bardzo ciepły, słoneczny październik. Takich dni nie ma w Polsce. To takie dziwne lato. Spóźnione na pociąg, który dawno już odjechał. Uparte i niemądre jak małe dziecko. Buntujący się dwulatek. Ono wcale się nie spóźniło, po prostu nie chciało odjechać.

Tkwi w ciepłych promieniach słońca, które teraz drażnią jej oczy. Mruży je. Zasłania ręką nieznośne promyki tańczące jak niegrzeczne dzieci na jej rzęsach. Zapomniała okularów. Przecież jest jesień. Weronika jest Polką. Jej jesienie są inne. Bez okularów słonecznych, bez krótkiego rękawka

u sukienki, bez otwartych butów. Pachnące burakami. Nie lubi ich brudnych bulw, soku plamiącego ręce jak krew, ale to warzywo jest tak polskie, tak związane z jej domem rodzinnym, że nawet jej hiszpański mąż polubił barszcz. Zrobi dzisiaj dzieciom chipsy buraczane na kolację, trochę polskiego smaku na hiszpańskim stole. Kulinarny powrót do domu, którego już nie ma.

— Mamo. — Podbiega do niej Nadia, bosonoga, w zbyt krótkiej sukience. Zawsze przegapi ten moment, kiedy córka wyrasta z sukienek. Zawsze są za krótkie. A może chce, aby takie były, aby nadal była małą dziewczynką, aby nie dokonywała się w niej ta okrutnie piękna metamorfoza dziewczynki w kobietę. — Patrz!

Patrzy. Trzy dziewczynki, może siostry, bardzo do siebie podobne i w bardzo zbliżonym wieku, wykonują na parkowej ławce przepiękne akrobacje. Jakby ławka była równoważnią na sali gimnastycznej. Wiotkie ciała, bez zaokrągleń, bez kręgosłupa, przechodzą z nóg na ręce, z rąk na nogi i tworzą przepiękne mostki nad ławką, która płynie pod nimi jak rzeka, mosty wygięte w triumfalne łuki nad ciałem, z których zwisają liany długich, ciemnych włosów zupełnie nieskrępowanych gumką czy wstążkami. Jej zawsze krępowano włosy podczas ćwiczeń, a pewnego dnia tata po prostu obciął ją na krótko. To była pierwsza kłótnia rodziców, którą zapamiętała jako dziecko. Potem już nie liczyła. Za dużo ich było, ale tę pierwszą o swoje włosy pamięta do dziś.

— Też bym tak chciała — słyszy głos Nadii.

Patrzy na swoją córkę. Dziecko, które zna od siedmiu lat. Szczupłe, ale mocne ramiona, opalone słońcem, trochę obdarte łokcie. Bose stopy i brudne, szorstkie kolana. Nogi

ma mocne, sprężyste jak ona, kiedy była małą dziewczynką. Sylwetka prosta, proporcjonalna, tylko dłonie i stopy ma po ojcu, z wysokim podbiciem, idealnie gimnastycznym, choć gen akrobacji przeszedł na nią drogą polskich przodków. Krótkie paluszki i ten drugi palec u stopy dłuższy od pierwszego. Mówią, że to oznaka dominacji w małżeństwie.

Weronika ma długie i wąskie stopy po babci, ze stopniowo schodzącymi w dół palcami. Od największego do najmniejszego. Żaden nie wystawia głowy z szeregu jak palec Nadii. Stopa idealnej kury domowej, posłusznej i uległej, z krótko przypiłowanymi pazurkami. Pamięta, jak babcia skarżyła się dziadkowi. „Mam przedwojenne stopy" — mówiła. Nie było na nie butów, w ogóle nie było butów, więc sama je wymyślała, szkicując na szarym papierze formy, które dziadek wycinał i robił dla niej pantofle. Z czegokolwiek, co było pod ręką. Najlepiej do małżeńskiej manufaktury butów nadawały się skórzane tapicerki podpalonych samochodów. Niemieckich lub sowieckich.

Dziadek nie nadawał się do pracy w systemie, który zamykał rytm dnia w konkretnym wymiarze godzin oraz norm, ale potrafił zrobić wszystko, co wpadło babci do głowy, a czego po prostu nie było. Był idealnym mężem w powojennych czasach: jednoosobowy lud pracujący wykonujący swoją mrówczą pracę. Tworzył produkt od początku do końca, bez narzędzi, bez materiału, bez zapłaty. I o nic nie pytał. Kiedy usta mu się otwierały, wlewał w nie kieliszek wódki i zamykał się w warsztacie.

Rafał Dobrzyński spoliczkował dziesięcioletnią Gabrielę, kiedy robiła gwiazdy w cieniu stuletniego buka. Weronika, ku zdumieniu córki, zdejmuje buty zaostrzone w niezdrowy obcas, jak mówił jej ojciec. Był wrogiem obcasów, ale

Weronika nie potrafi im się oprzeć. Jednak teraz uwalnia stopę z koturnu. Wydaje jej się taka mała jak stopa tamtej dziewczynki, którą kiedyś była i która chodziła po równoważni. Czuje, jak pięta mocno opada na gąbczastą powierzchnię parku. Czuje rozkosz płynącą z dotknięcia podłoża. Zapomniana przyjemność.

Czy jej ciało pamięta jeszcze te gwiazdy? Czy ręce udźwignęłyby teraz ciężar ciała pionowo głową w dół? Choćby przez tę chwilę, podczas której trwa efekt spadającej gwiazdy. Ile lat minęło? Boi się liczyć.

— Chodź, pokażę ci — mówi jednak.

Podchodzi do pozycji, unosi ręce, wystawia do przodu lewą stopę, ale nie opada tułowiem w przód, nie rzuca się w przepaść przeszłości. Nadia, dziewczynka o imieniu rumuńskich gimnastyczek, patrzy jak zaczarowana na parkowe akrobatki i na swoją mamę.

Dziewczynka jest zwinna. Robi maleńką gwiazdkę. Przerzucik zaledwie, ale unosi ładnie nogi. Kolorowe jednorożce na majtkach potrząsają różowymi grzywami.

Pięknie. Weronika się uśmiecha. Ona też wybijała się na lewej nodze. Lżej zawsze było unieść prawą część ciała, jakby ta ważyła mniej.

Polskie gwiazdy, hiszpańskie półksiężyce. Czteroramienna gwiazda. Czterokończynowa.

Wracają do domu. Czuje się trochę dziwnie, stąpając po brudnym chodniku, w którego krawędzie wcisnęły się niechciane niedopałki papierosów. Odwraca wzrok od paradujących gołębi, od przepełnionych śmietników. Obcasy, które chronią od brudu ulic, utrzymując ją na bezpiecznej wysokości, wydają jej się teraz niewygodne, a nawet nienaturalne. Ta chwila, którą spędziła boso na placu zabaw, przypomniała

jej stopom wolność. Poczuła miękkość poduszek, wygięty łuk podbicia. Wróciła nagle dawna, zapomniana lekkość. Chce ją zatrzymać, przedłużyć. Nieświadomie przyspiesza kroku, ciągnąc dzieci za ręce. Idą wolno. Leon sylabizuje nazwy sklepów mijanych po drodze, a Nadia przystaje przed lodziarnią i prosi oczami.

— Gimnastyczki nie mogą jeść lodów — powiedziała, zanim pomyślała.

Tak mówił tata. Dawno temu, w innym świecie, kiedy ona sama była małą dziewczynką i zatrzymywała się przed budkami z lodami. Jesienią i zimą lodów w Polsce jej dzieciństwa nie było. Teraz są i kuszą. Zaraz pożałowała tych słów, ale było już za późno. Nadia postanowiła zostać gimnastyczką i nie jeść lodów.

Wreszcie w domu. Weronika natychmiast zrzuca buty. Jakby parzyły. Instynktem dobrej mamy przypomina dzieciom o umyciu rąk, wbiega do kuchni, nakłada buraczane krążki na blachę, wciera w ich miąższ oliwę i wkłada je do rozgrzanego piekarnika. Trzydzieści minut. W pośpiechu zapomniała o rękawiczkach. Jej fioletowe dłonie śmieszą Nadię.

Jest zdenerwowana. Czuje przyspieszone tętno, choć nawet nie zaczęła rozgrzewki. Dziwna ekscytacja. Jeszcze wczoraj w sytuacji podobnego napięcia poszłaby do kuchni i nalała sobie kieliszek wódki, ale dziś nie chce pić. Jej ciało chce się wybić, wygiąć, rozciągnąć. Dokładnie pamięta ten ruch rąk i nóg, jakby to było wczoraj. Ramiona w górę, lewa noga do przodu, opad tułowia. Ręce dotykają podłoża i następuje dynamiczne przejście do fazy stania na rękach. Nogi w rozkroku, tułów wyprostowany. Najmniejszy palec u rąk dotyka podłogi, po czym palce

stopniowo odrywają się od podłoża, wędrują ku górze, a nogi opadają w dół.

Pamięta wszystko, jakby tata stał przy niej i powtarzał skupionym głosem każdy ruch. Ale nie może tego zrobić. Rozgrzewka jest najważniejsza. Pamięta całą godzinę ćwiczeń i tę chwilę przyjemności. Jak jedzenie lodów po długiej zimie. A co dopiero teraz, po tylu latach! Przecież to jest sypialnia, a nie sala gimnastyczna, nawet nie jest odpowiednio ubrana. Jak była mała, mieli malutkie mieszkanie. W jej pokoiku tata dotykał obu ścian nogami rozciągniętymi w szpagacie. W dużym pokoju mama zabraniała im ćwiczyć, więc jak podrosła, zabierał ją ze sobą na salę gimnastyczną.

Czuje, jak jej ciało chce wrócić do tamtych ruchów. To są niby te same ręce, nogi, plecy, tylko że większe, cięższe. Boi się, ale pamięć ciała jest bardzo silna. Kusi ją. Prowokuje. Pamiętasz. Pamiętasz. Pamiętasz…

Jej ojciec robił gwiazdę na jednej ręce i salto machowe bez dotykania podłoża. To też pamięta. To był jedyny mężczyzna, jakiego znała, który potrafił zrobić szpagat, jedząc przy tym bułkę z szynką. A raczej bułki. Ciągle był głodny jak mały, nienajedzony chłopiec. Ciągle jadł. Jak jej Leon.

Zapach buraków wdziera się przez zamknięte drzwi do sypialni.

— Mamusiu, buraczki! — krzyczy Nadia.

Myślała o ojcu i nie odważyła się na żadne ćwiczenie. Nie pozwoliłby jej nigdy na ćwiczenia bez rozgrzewki. Posłuchała go nawet teraz. Rozgrzała pamięć, a nie ciało. Poćwiczy później, jak dzieci zasną. Wszystko robi, jak dzieci zasną. Wtedy kończy się jej dzień pracy i zaczyna czas dla niej.

Wraca do kuchni, gdzie uderza ją słodkomdlący zapach buraków. Zdążyła, nie spaliły się. Jest bardzo dobrą panią domu. Wyjęła gorącą blachę z piekarnika i butelkę wódki z lodówki. Rozgrzane neurony pamięci krążyły wokół sylwetki ojca. Wysportowanej. Zgrabnej. Umięśnionej. W białym podkoszulku z taniej bawełny i krótkich spodenkach z ortalionu w brzydkim granatowym kolorze z białymi lamówkami. Nigdy w swoim życiu nie spotkała mężczyzny tak pięknie zbudowanego.

Nalewa sobie wódki. Lubi wypić kieliszek przed kolacją. Na pobudzenie apetytu. Kieliszek jest z grubego, polskiego kryształu w kolorze ciemnego bakłażana albo pieczonego buraka. Uśmiecha się lekko. To jej odrobina przyjemności w ciągu dniu. Te pięć minut zawieszenia, kiedy alkohol delikatnie spływa chłodnym strumieniem do lekko głodnego żołądka. Drażni. Jak ogień rozgrzewa ściany jamy brzusznej. Czuje ciepło. Przyjemny głód. Przegryza buraczanego chipsa, jakby chrupała zaschniętą krew.

III

To był jego pierwszy ukraiński wieczór tego lata. Przyjechał do Rafałówki bryczką ze stacji w Maniewiczach, krótko po tym, jak Rafał odkrył, że jego córka ma dwie nogi, dwie ręce i silne, gibkie ciało. Jak mała małpka. Leon, kuzyn Rafała, uciekał z dusznego Krakowa w Tatry lub na Ukrainę, czasami nad morze, rzadziej do Paryża czy

Rzymu. Tak naprawdę wszędzie bywał gościem, wpadał na chwilę, może dwie, zanurzał się w gęstwinę lasów, wchodził między ukochane drzewa albo na tatrzańskie szczyty. Nie przejmował się światem ani ludźmi, nikogo nie powiadamiał, nikomu nie mówił, kiedy wróci. Nie tęsknił za nagimi modelkami, które wprowadził do pracowni akademickich, za ulubionym daniem czy kieliszkiem koniaku. Nie przywiązywał się do rzeczy ani ludzi. Pilnował tylko, aby Franusia włożyła do kufra jego ulubione cygara. Z nią jedną się żegnał, podawał bliżej nieokreśloną datę powrotu i całował dłonie. Za każdym razem dłużej. W pewnym momencie, gdy życie niebezpiecznie przekroczyło półwiecze, zaczął tęsknić. Było to uczucie nieznośne, które drażniło i zakłócało spokój. A jednak wyjeżdżał i przywoził z Ukrainy cenne szkice i studia do obrazów, które potem nonszalancko niszczył.

Siedział teraz w swoim ulubionym fotelu w saloniku przylegającym do jadalni, gdzie często grywał w karty z Rafałem i księdzem, gdzie towarzyszyła im samotna Joanna, pijąca słodką herbatę z mlekiem. Niebo płonęło czerwoną łuną zachodu. Wyglądało jak otwarta, krwawa rana. Ból zadany nocy w absolutnym milczeniu. Noc nie krzyczała. Krwawiła powoli. Czerwone krople spadały w granatowe niebo, zostawiając krwiste smugi. W ciemnej ciszy posnęły dzięcioły, szpaczki, nawet małe, szare wróble. Koniki polne i świerszcze dopiero stroiły smyczki.

Wsłuchał się w tę ciszę, którą tak dobrze znał, a którą każdego lata odkrywał na nowo. Fascynowały go ostre, belliczne barwy w tej agonii wszelkich dźwięków. Ten kontrast piktoralnej siły z dźwiękowym milczeniem. Położył ręce na wolno trawiącym brzuchu i słuchał. Jak koncertu,

jak radia, jak śpiewu. Słuchał, tak jak malował: *alla prima*. Spontanicznie, zachłannie, szybko. Stał przy sztalugach w białym kitlu i masce ochronnej na twarzy. Bardziej przypominał chirurga gotowego do operacji niż artystę. Powoli nabierał rozpędu, sztaluga zaczynała furkotać. „Bladoniebieski, numer dziewięć!" — krzyczał. Służący kręcił korbą, Frania chwytała pożądany numer farby i podawała malarzowi, mistrzowi, kochankowi. Na ułamek sekundy dotykały się ich dłonie. Niewidzialna pieszczota. Dotyk skóry niewyczuwalny nawet dla nich, ale może właśnie wtedy rodziło się między nimi uczucie. Ostre krótkie numery wybrzmiewały w powietrzu przepełnionym pyłem sproszkowanej pasteli jak serie z karabinu maszynowego. Pastela drażniła oczy malarza. Puchły i czerwieniły się, nie pozwalały dojrzeć numeru, zresztą szkoda mu było czasu na szukanie. On musiał malować. Teraz. Szybko. Z furią, która w nim tkwiła od zawsze, popychała do działania, tworzenia, kochania. Teraz zmęczone pyłem pasteli i kurzem Krakowa oczy odpoczywały nakryte lekko zaczerwionymi powiekami. Leon nie spał. Pędzlem rzęs na płótnie źrenicy malował mocny profil Franusi. Ciemne, ciężkie włosy nad wysokim czołem, smutne usta, miękki, wydatny dekolt okraszony białym, dzierganym kołnierzykiem.

Kiedy usłyszał ciężkie kroki Rafała, otworzył oczy, przytomne, żywe i bardzo młode. Tak mówiła Teosia, co bardzo drażniło Rafała, jakby on sam w oczach tej wiejskiej służącej chciał mieć takie właśnie spojrzenie. Był o dziesięć lat młodszy od Leona, ale to o jego oczach prosto i głośno napomykała Teosia. Błysnął teraz młodzieńczymi ognikami w podstarzałych źrenicach i wyjął z kieszeni pudełko

ratuszowych. Powąchał z rozkoszą cygaro i poczęstował Rafała. Wieczór był ciężki i ciemny jak brzemienna kobieta. Zapadał powoli, otulając ich mrokiem. Leon zapalił i zaciągnął się z rozkoszą.

— Dobrze, że Joasia pozwala ci palić — powiedział.

— W Anglii wszyscy palą, dlatego pozwala, ale jutro każe Teosi przewietrzyć cały salon.

— Tak jak moja Franusia, ale ona mi palić nie pozwala.

— A co? Kucharki się słuchasz? — zaśmiał się rubasznie Rafał.

— No właśnie nie słucham, dlatego wietrzy… ale to z troski o moje nerwy — usprawiedliwiał troskę gospodyni wykraczającą poza jej obowiązki.

Palili dalej. W ciszy i w milczeniu. Nie potrzebowali słów, mimo że nie widzieli się cały rok. Koił ich i delikatnie usypiał zapach ratuszowych, a kieliszek cierpkiej pieprzówki trawił za nich sytą kolację. Zaciągali się, mrużyli oczy, uśmiechali się do siebie, pomrukując jak dwa stare kocury. Tkwili w ciszy jak w najgłębszym dialogu, tej męskiej ciszy, która nie potrzebuje słów.

— Zobaczyłem dzisiaj w polu Gabrielę i jakbym widział jej matkę — odezwał się jednak Rafał. — Moja córka, półnaga, do góry nogami. Była tak do niej podobna…

— Spokojnie, od paru fikołków jej się w głowie nie przewróci — uspokoił go Leon.

— Tak myślisz? — zapytał z nadzieją, ale i bez przekonania Rafał. — W końcu niedaleko pada jabłko… — Język pełen był zwrotów odbierających mu jakąkolwiek nadzieję.

— A Klementyna się odzywała?

Pokręcił przecząco głową i przeciął milczeniem rozmowę na widok wchodzącej Teosi.